

## **Wawrzyniec Rymkiewicz: Nauczyciel języka polskiego**

Język może zacząć umierać. Jego umieranie jest niewidzialnym procesem, przenikającym dusze i niszczącym umysły, pozbawiającym człowieka kontaktu z samym sobą i otaczającą go rzeczywistością.

Czym jest język dla człowieka? Na pierwszy rzut oka wydaje się tylko dodatkiem do naszego istnienia. Nasze ciała funkcjonują, nie potrzebując słów i zdań, obojętne na ich znaczenia. Jeśli jednak przyjrzeć się głębiej, zajrzeć do wnętrza czegoś, co nazywa się świadomością albo duchem – żeby przywołać to starożytne słowo – wtedy okaże się, że język jest przeźroczystym ośrodkiem, niewidocznym medium, w którym każdy z nas żyje i jest zawieszony. Kontaktuję się z samym sobą, słysząc własny głos wewnętrzny, własną wewnętrzną mowę. Rzeczy i sprawy zjawiają się przede mną przyobleczone w słowa i zdania. W słowach spotykam wreszcie innych ludzi – tych, którzy żyją tu ze mną, a także tych, którzy byli tu przede mną i którzy przyjdą tu po mnie. Porządek historii, głęboki wymiar czasu, jest dla nas dostępny tylko i wyłącznie w języku i poprzez język. Gdybyśmy go nie posiadali, w pomnikach i ruinach przeszłości widzielibyśmy tylko teraźniejszą martwość albo współczesny rozpad. To język daje nam wiedzę o ich przeszłym życiu i dawnej wielkości, która nas w jakiś sposób – niewidzialnie – dotyczy, określa i kształtuje. W ten sam sposób nasi potomni znajdą nas w słowach. I dowiedzą się, kim byliśmy – dzięki językowi.

Człowiek, uczy Arystoteles, jest zwierzęciem posiadającym słowo, ζῷον λόγον ἔχον (Polit., A 2, 1253a 9 i nast.). Św. Jan mówi to jeszcze dobitniej: „Na początku było Słowo”, Ἐν ἀρχῇ ἦν ὁ λόγος (J 1,1).

Język może jednak zacząć umierać. Jego umieranie jest niewidzialnym procesem, przenikającym dusze i niszczącym umysły, pozbawiającym człowieka kontaktu z samym sobą i otaczającą go rzeczywistością. Człowiek, którego język został zniszczony, jest jak ogłuszone zwierzę. Nie słyszy siebie i swoich bliźnich. Nie potrafi zlokalizować własnego miejsca w porządku czasu. Jego życie staje mu się obce.

Z takim właśnie fenomenem – ze śmiercią języka, konaniem logosu – mieliśmy do czynienia w Polsce pod sowiecką okupacją. Cechą charakterystyczną PRL-u, jak zresztą wszystkich totalitaryzmów, była nowomowa. Język złożony z martwych słów i sztucznych związków frazeologicznych, którym mechanicznie obracano na partyjnych plenach. Takim językiem mówiło centrum władzy. A potem powtarzały go gazety i rozpowszechniała telewizja. Nowomowa schodziła pod strzechy.

Martwy język pojawiał się także w wysokich rejestrach praktyk językowych: w literaturze, w naukowej humanistyce (będącej późnym, postreligijnym sposobem obcowania z logosem), w pracach filozoficznych. W XIX stuleciu Polacy mieli filozofów, którzy, choć zależni od Niemców lub Francuzów, potrafili myśleć na własną rękę i formułować własne myśli w znakomitej polszczyźnie. W późnym PRL-u – kiedy zniszczenie języka zaczęło przybierać prawdziwie

apokaliptyczne rozmiary – wiele prac i tłumaczeń filozoficznych pokazuje nam język, w którym nie tylko nie można sformułować żadnej myśli własnej, lecz nie można nawet zrozumieć myśli cudzej.

Ten stan językowej zapaści nie skończył się w roku 1989, lecz rozciąga na całe lata 90. W tym właśnie językowym pejzażu, zdegradowanym krajobrazie polskiego logosu, pojawił się na początku tego tysiąclecia Podręczny słownik etymologiczny Andrzeja Bańkowskiego. Dzieło jedyne w swoim rodzaju.

Słowniki są zwykle sztywnymi konstrukcjami nałożonymi na mowę. Język wydaje się żywym organizmem, który tworzy – wydobywa z siebie – nowe wyrazy, a te wychodzące z użytku wypiera gdzieś na margines, odsuwa w językową niepamięć. Słowniki, wbrew tej jego naturalnej pracy, przypisują słowom stałe znaczenia, unieruchamiając ich spontaniczne życie. Pokazują nam one w dodatku język jako zbiór słów. Widzimy w nich język w rozproszeniu. Tymczasem podstawowym doświadczeniem mówiącego jest doświadczenie jedności języka. Słowa wzajemnie się przyciągają, zdania stanowią organiczne całości. To wrażenie rozproszenia pogłębia jeszcze, stosowana zwykle w słownikach etymologicznych, „metoda gniazdowa” – której używali najważniejsi polscy etymolodzy, Samuel Linde i Aleksander Brückner. Zgodnie z nią w haśle, poza słowem podstawowym, podawane są słowa mniej lub bardziej, w ten albo w inny sposób z nim związane. Obraz pierwotnego rozproszenia, naturalny dla słowników atomizm, przekształca się w ten sposób w obraz atomowego chaosu. Aleksander Brückner podaje na przykład pod hasłem *isty* następujący szereg: *istny, istota, iścić, istność, isticie, ziścić, uiszcząć*. Nie wiadomo, co to wszystko znaczy. Na czym polega tu praca języka i jaka myśl jest w niej złożona.

Słownik Andrzeja Bańkowskiego sprawia wrażenie dokładnie odwrotne. Czytelnik ma mocne poczucie jasności i porządku. Bańkowski chce tłumaczyć słowa. Objasniać język. Ten zamiar manifestuje się już w samym układzie jego Słownika. Hasłami są w nim nie tylko tak zwane „wyrazy niemotywowane”, czyli nierozkładalne na osobne elementy znaczące, lecz także „wyrazy motywowane”, a zatem posiadające sens złożony. Wyraz taki jest hasłem, kiedy, czytamy, „z różnych powodów wymaga osobnego komentarza (albo tylko przypomnienia bądź przedstawienia go z osobna)”. Bańkowski często rozpisuje także jeden wyraz na kilka haseł. Autorzy słowników czynią tak zwykle w przypadku homonimów, wyrazów jednobrzmiących o różnym znaczeniu. Bańkowski rozszerza natomiast tę formę o przypadki wyraźnej polisemii.

Wróćmy jednak do naszego przykładu. Co u Brücknera zawiera się (i rozpada) w jednym tylko hasle, u Bańkowskiego obejmuje hasła kilkanaście: od czasowników „istnąć” i „istnieć” przez przymiotnik „istny”, rzeczowniki „istność” i „istota”, aż po frapującą „iściznę”. A ponieważ każdy z tych wyrazów jest w swoim pochodzeniu i funkcji objaśniony, wobec tego przed czytelnikiem wyświetla się zagadkowe powinowactwo pojęć prawdy, istoty i istnienia. Przymiotnik „isty”, czytamy, oznaczał w XIV–XVII wieku: „pewny, niewątpliwy, niezawodny, faktyczny, prawdziwy”. To powinowactwo, dowiadujemy się dalej, miało całkiem konkretny sens ekonomiczno-prawny: „iścić” znaczy pierwotnie „płacić” (uiścić), a wspomniana wyżej „iścizna” to pecunia capitalis albo pecunia principalis, „główna suma pieniężna (do zapłaty z wyroku sądowego, oprócz kar pieniężnych, odsetek itp.)”. Polszczyzna – tak to rozumiem – odsłania nam tutaj ontologiczną podstawę klasycznej definicji prawdy. Głosi ona, przypomnijmy, że prawda jest stosunkiem zgodności pomiędzy myślą a rzeczywistością, a

zatem (w konsekwencji) umieszcza prawdę poza istnieniem. Tymczasem w polszczyźnie, w przymiotniku „istny” i przysłówku „iście”, zapisane jest przekonanie, że samo istnienie jest prawdziwe; i że ta prawda ma jakiś związek z naszymi elementarnymi życiowymi działaniami.

Bańkowski nie poprzestaje jednak na tłumaczeniu słów. Język, objaśniony, zaczyna w jego dziele spontanicznie pracować. Etymologista, pod dyktando języka, tworzy nowe słowa – domyślając się ich form pierwotnych (jak „jestnąć” zamiast „istnąć”) albo proponując własne wersje błędnie w jego opinii utworzonych wyrazów (jak „krawędnik” zamiast „krawężnik” albo „ciągacz” zamiast „ciągnik”). Bańkowski jest rzetelnym badaczem. Raz po raz jednak, niejako na marginesie tej swojej badawczej pracy, pchany przez sam język, staje się – pisarzem. Słowniki są zwykle ułożone w trybie bezosobowym. Z haseł Bańkowskiego, z jego pracy nad językiem, wyłania się tymczasem osoba autora – anarchiczna, przewrotna i ironiczna (a nawet niekiedy złośliwa). Bańkowski lubi podważać różne nasze przekonania i wmówienia – najlepszym przykładem jest tu jego wycieczka przeciwko Konfederacji Barskiej i Sienkiewiczowi w haśle przemianować. Chce zmusić czytelnika do myślenia. Obudzić go z tępej drzemki. Z językowego nawyku.

Sens tej nieoczekiwanej przemiany – w której język staje się problemem, a etymologista pisarzem – odsłania się w haśle przenośnia, stanowiącym zwartą analizę zniewolenia językowego. Stosunek do języka i władza nad językiem, deklaruje Bańkowski, jest fundamentem wolności: „Nie obudzi się dziś wolnym, kto nie odróżnia biegle alegorii

od metafory” . W ten sposób etymologia, praca nad słowami, okazuje się aktem ustanowienia – w języku i poprzez język – Wolnego Człowieka.

Życie ma jednak swoje prawa. Prace leksykografów i etymologów rzadko budzą namiętności. Są użyteczne albo bezużyteczne. I jest to jedyne kryterium, wedle którego są oceniane. Żadnych emocji nie budzą też dzieła nijakie i przeciętne. Bańkowski swoim *Słownikiem* wywołał emocje, które zwykle budzą pisarze – i to tylko ci najważniejsi. Historia literatury pełna jest przykładów ocenzurowanych prozaików, wygnanych poetów, wyśmianych geniuszy. Taki los spotkał też Andrzeja Bańkowskiego. Jego wrogowie zatrudnili Radę Języka Polskiego, instytucję powołaną do czuwania nad ortografią i interpunkcją, do potępienia *Słownika*. W roku 2000 ukazały się jego dwa tomy. Tom trzeci już się nie ukazał. Taki był haniebny rezultat ataków na *Słownik*. Wydawnictwo wycofało się z jego publikacji. Dzieło kończy się dzisiaj na literze P.

Dzieło przełamane, niedokończone, przerwane, zanim osiągnęło swoją pełnię. Pozostaje tylko pocieszenie, że moce, które Andrzej Bańkowski obudził i w imieniu których do nas przemawia, znacznie przekraczają siły jego wrogów; i że jego *Słownik* pozostanie już na zawsze w

polszczyźnie jako żywy pomnik żywego języka.

*Wawrzyniec Rymkiewicz*



Tekst pochodzi z najnowszego numeru kwartalnika Kronos p.t.  
**"Orfeusz i Hoelderlin".**

### **Przypisy:**

[1]Taki jest autorski tytuł tego dzieła, który redaktorzy PWN zmienili na Etymologiczny słownik języka polskiego.

[2]A. Brückner, Słownik etymologiczny języka polskiego, Warszawa 1970, s. 193–94.[3]Andrzej Bańkowski, Etymologiczny słownik języka polskiego, Warszawa 2000, t. 1, s. IX.

[4]Tamże, s. 562.

[5]Tamże, t. 2, s. 878.